

---

# INSTYNK ŻYCIA

---

(c) 2012 by Emma Popik

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez autora. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody autorki. Zabrania się jej odsprzedaży, zgodnie z regulaminem zawartym na stronie autora.

www: <http://www.emmapopik.pl> email: [popik@koti.pl](mailto:popik@koti.pl)

Tego dnia nikt nie mógł dojrzeć wschodu słońca. Światło nie przebiło się przez nienormalnie gęste chmury. Za to po niebie kroczyły wielkie światła: wysuwały się wpierw zza horyzontu nożyce promieni i cięły ostro firmament. Chwilę obmacywały pograżone we śnie miasto, nie spodziewające się niebezpieczeństwa.

Spała szkoła i dom. Pierwsi obudzili się kierowcy ciężarówek, dowożący żywność do sklepów, by matki, kupujące mleko i bułki, mogły zrobić na czas śniadanie chłopcom idącym do szkoły. Kierowcy budzili się dziwnie otumanieni, mimo zimnego prysznic nie odchodziło od nich odrętwienie. Automatycznie się ubierali. Naciągali na czoło kaszkiety i wychodzili na ciemne ulice, zapalając pierwszego papierosa, ale zanim zdążyli się zaciągnąć, już nie mieli czego palić, a na ich ubrania osypywał się popiół.

Wsiadali do stojących w garażach ciężarówek, podobnych do wielkich, uśpionych potworów. Aby zrobić krok na stopień kabiny szoferki, musieli wysoko podnosić nogę, ale ich otępiały tego dnia mózgi, nawet tego nie zarejestrowały. Żaden z nich się nie zastanowił, dlaczego samochody tak bardzo przez noc się powiększyły, czy raczej oni zmaleli. Włączali światła reflektorów, ale wydawały się im mętne i żółte, więc jechali w ciemności, jakby po omacku. Ich mózgi automatycznie rejestrowały istnienie zakrętów i znaków drogowych, zmieniali więc biegi, wcale o tym nie wiedząc.

Rzeczywistość senna i przemieniona, wyolbrzymiona potwornie, nie docierała do ich świadomości. Tylko jeden z nich, Haron, widział, co się wydarzyło. Był tego dnia wyjątkowo zły, gdyż jego chory żołądek nie pozwalał ani na papierosa, ani na śniadanie. Wiedział, że dopiero koło południa zje trochę postnego kleiku owsianego. Głód jednak i ból powodowały, że jego zmysły były wyostrzone. Widział ciemność i straszne światła, obmacujące wszystko, co żywe. Dostrzegał nienormalnie szybko spalające się papierosy, nadzwyczaj olbrzymie samochody, wszystkie, oprócz jego. Widział, że śniadania kolegów zawinięte w papier i

wetknięte do kieszeni były dziwnie miękkie. Dostrzegając, że pagórki, które mijał, jadąc miały jakąś luźną strukturę. Przestrzeń stała się jakby rozwiązana, pogubiły się wymiary i metry. Zdawało się, że czas się zwinął, bo tak szybko dojechali za miasto do wielkich magazynów żywności. Wrota ich stały otworem. Nie paliło się ani jedno światło, z wnętrza ziała ciemność i nie było nikogo z obsługi, żadnego z tragarzy, dźwigających zazwyczaj skrzynki z owocami, kaszą lub mięsem. Nie zobaczyli pomocników pchających wózki ani kierownika z tabletem w ręku, pokrzykującego na wszystkich. Kierowcy nie zwrócili na to uwagi. Nie było obsługi, więc usiedli na stopniach ciężarówek i oparli na rękach ociężałe głowy. Nadjeżdżali wciąż inni i po chwili, jeszcze przed świtem, rozciągał się przed magazynami milczący tłum.

Haron wszedł do ciemnych magazynów i oświetlił wnętrze latarką: nie było nikogo. Stały tylko skrzynki, zsunięte w krąg tak, jakby siedziało na nich wokoło kilka osób. Na skrzynkach wały się resztki śniadania: skórki chleba w papierze i niedojedzone resztki kiełbasy. Wziął jeden z nich w rękę: jak dziwnie był lekki, jakby z waty. Obok z termosu jeszcze dymiła kawa, tylko ludzi nigdzie nie było.

Kierowcy zgłodnieli, więc wyciągali z kieszeni śniadania i jedli je machinalnie, a Haron tylko patrzył, czując swój obolały żołądek. Zjedli bez słowa, nikt się nie odzywał, tylko w ciszy chodziły po twarzach światła. Haron wyszedł z magazynów. I wtedy zobaczył, co się stało z ludźmi. Krzyczał i zatykał ze strachu usta, ale kto mógł go usłyszeć? Nikogo nie było. Tak krzycząc i bojąc się, zaczął uciekać z tego przerażającego miejsca i gnał ku miastu, jakby zapomniał, że samochodem będzie prędzej.

Matka się zbudziła i spojrzała na zegarek na komórce. To dziwne, zaspali. Musi pędzić i się spieszyć. Pobiegła do sypialni syna: chłopiec spał z nogami na kołdrze.

- Wstawaj, syneczku, już późno!

Otworzył oczy i wyskoczył z łóżka. Biegąc do łazienki, naciągał sweter.

- Nie zdążę zrobić śniadania – usprawiedliwiała się matka. - Masz tu pieniądze na bułki, kupisz sobie po drodze w piekarni. Zrobię za to lepszy obiad.

- To przez te twoje nocne dyżury, mamó – powiedział chłopiec. - Za dużo pracujesz. – I już gnał do drzwi.

Zbierała pościel, gnębiona wyrzutami sumienia. Czuła, że nic jej nie przejdzie przez gardło. Zabrała się do porządkowania mieszkania. Podczas nocnych dyżurów często podjadała, zawsze miała pod ręką talerzyk z kawałkiem tortu czy kanapki z bistro na rogu. Miała nadwagę, ach jakże nie znosiła tego swojego wyglądu: tych wałeczków tłuszczu na brzuchu i zbyt pulchnych ud. Postanowiła, że przejdzie na dietę. Kiedy jest pora na rozpoczęcie czegoś ważnego? Teraz. Od tej chwili nie będzie jadła, póki wytrzyma głodówkę i aż nie powróci smukła linia ciała, do którego wzbudzała w sobie dużą niechęć.

Chłopiec biegł ulicami, dziwiąc się ciemnościom. Przystanął przed piekarnią, ale była pusta. Ani jednej bułki, a wewnątrz drzemała senna sprzedawczyni. Wpadł na lekcję geografii, już się zaczęła i uczniowie siedzieli przy swoich stanowiskach komputerowych, a profesor programował białą, interaktywną tablicę. Chłopcy czekali, aż nauczyciel rozpocznie lekcję, ale on, stojący do nich plecami, nadal się nie odwracał. Trwali więc w ciszy, przeczuwając, że coś się stało. Uwielbiali tego nauczyciela geografii za wspaniałe wycieczki po całym kraju. Głównie za to, że odbywali je fizycznie a nie poprzez wirtualną rzeczywistość. Na wycieczkach mogli nie tylko w warstwach gleby zobaczyć, jak się wypiętrzały łańcuchy górskie, ale pokazywał im, jak stuknąć lekko młotkiem w różowy porfir, by bryłka od razu się rozpadła na równe sześcianiki.

Pamiętali smak herbaty pachnącej liśćmi i wieczory przy ognisku, kiedy się snuły dymy o zachodzie słońca, a ktoś grał na gitarze.

Czuli wtedy rzecz największą: byli razem, jedną rodziną. Więc teraz czekali, aż się odwróci i nikt nawet nie pomyślał, by chrząknąć.

Nauczyciel wciąż stał i patrzył przerażony w białą powierzchnię. Choć otworzył okno i zniknęło już logo: rozłożona książka, kałamarz i gęsie pióro, nie pojawił się obraz do ściągnięcia na temat tej lekcji. Leciały tylko intensywne kolory i wiele wymiarów, a wśród nich, z któregoś z nich wydobyte, było ich senne miasto. Potem pojawił się świt, ale w zupełnie innym wymiarze, nie związanym z czasem.

Pokazały matkę chłopca, a po chwili jej myśli o nocnych dyżurach i konieczności dodatkowego zarobku, a także przyrzeczenie, że nie tknie jedzenia dla solidarności z synem, który wyszedł bez śniadania. Męczyła się, usiłując zwalczyć chęć sięgnięcia po jedzenie. Mówiła sobie, że będzie trenować wolę, ale było to trudne, szczególnie w zwykłej porze posiłku.

Zobaczył kierowcę ciężarówek, Harona, który czuł własny żołądek. Jakże go nienawidził. Widać było wewnątrz żołądka, pokryte poszarpaną śluzówką, w której się zagnieździł zielony wrzód. Był nabrzmiaty i sączyła się z niego krew. Człowiek cierpiał z powodu własnego ciała i przeklinał je nieustannie. Z niechęcią myślał o pokarmie, który wniknie do żołądka: każdy kęs, nawet najbardziej przeżuty, będzie go kaleczył i torturował. Jakże chciał przestać cierpieć.

Pojawił się chłopiec biegnący do piekarni po bułki na śniadanie. Bułek nie było, więc chciał zapomnieć o głodzie. Był młody, mógł jeść jak wilczek. Jego ciało wciąż się domagało pożywienia, musiał więc z nim walczyć, opanować je i pokonać. Gnał do szkoły i był w nim ostry ból głodu.

I wtedy nauczyciel zobaczył siebie w głęboko otwartym oknie programu. Podniósł ramiona, by nie oglądali tych scen uczniowie. Oni jednakże byli pochyleni nad swoimi komputerami, właściwie zadowoleni ze swobody buszowania po sieci i portalach. Kiedy był

dzieckiem, zapadł na straszną chorobę, która miała go zamienić w kalekę. Przyniesiono mu jednak przyrządy gimnastyczne. Zrozumiał, jak wiele od niego zależy. Popróbował swoich sił i poprzysiągł sobie, że będzie chodzić, a jego ręce znowu się nauczą chwytać i zatrzymywać. Tak, pamięta tę chwilę wielkiego bólu i nadziei. Teraz znowu się otwierały coraz głębsze okna i widział siebie w sytuacjach, w jakich nikt go nie oglądał. Zaciśnięte w uporze zęby i zagryzione z bólu wargi i smutne medytacje nad zanikającymi mięśniami nóg. Ćwiczył jednak systematycznie mimo bólu i braku rezultatów. Musiał pokonać własne ciało, jego słabości i ograniczenia. Ciało to męka, to odczuwał zawsze. Po latach wysiłków zaczęło mu być jednak posłuszne: przyrastały mięśnie, zmniejszył się ból, a on stawał się starszy. Jako student był niestrudzony w pieszych wędrówkach i sportach. I do dziś codziennie, kiedy nikt nie widzi, ćwiczy godzinami, choć pot zalewa mu czoło. Wciąż pokonuje swoją słabość i udowadnia sobie, że wola i duch są silniejsze niż ciało.

Wtedy się stało! Otworzyło się głębokie okno, wyskoczyło na powierzchnię i zasłoniło wszystkie. Pokazano mu, co się dzieje z ludźmi siedzącymi na stopniach ciężarówek i dlaczego nie ma nikogo na skrzynkach ustawionych w koło w magazynie, gdzie jeszcze paruje kawa z termosu.

- Nie! Nie! – wołał bez słów. – Nie róbcie tego. – wołał do bezlitosnych świateł przecinających niebo. Niczego nie rozumiecie: nasze słowa i myśli odczytujecie opacznie.

Twarz! Pojawiła się w głębi okna i już była tuż przed nim. Nie należała do człowieka.

- Możemy przybrać kształt taki, jaki chce twój umysł – mówiono do niego. – Możemy się pojawić w postaci anioła czy szatana, twego przyjaciela czy dziewczyny. Słuchaj! – Zaczęły grozić, ostrzegać i stawiać warunki.

Nauczyciel słuchał w skupieniu, zastanawiając się, dlaczego on został wybrany. Odpowiedź otrzymał od razu.

- Wybraliśmy ciebie na tego, który został ostrzeżony; to sprawa naszej uczciwości. Uważamy bowiem, że należy dać wam szansę. Uważamy bowiem, że ty i tobie podobni tyle wycierpieli z powodu ciała, że sami poproszą o to, co proponujemy. Dołączcie więc do nas: zyskacie wieczność i stan szczęśliwości.

- Jako kto? W jakiej postaci?

Milczenie.

„Przecież mi odpowiedzieli – uświadomił sobie nauczyciel. – Dowolny, jakie chce przyjąć nasz umysł. Podła, nikczemna uczciwość – myślał nauczyciel. – Nie godzę się na żaden z waszych warunków. Nie poddam się. Nie poddałem się dotychczas nigdy”.

- Źle wybraliście – powiedział półgłosem i nacisnął punkt na ekranie.

Twarz oczywiście nie zniknęła, bo przecież nie należała do pakietu edukacyjnego tablicy interaktywnej. Oczy wciąż patrzyły spokojnie, pewne swej zdobyczy. Mimo to odwrócił się do niej plecami, stając przodem do uczniów pochylonych nad swoimi komputerami. Niemal słyszał, jak za plecami coś drwiąco się śmiało.

- Chłopcy – zaczął – zarządzam próbnym alarmem przeciwinwazyjnym. Liczę do trzech: wiecie, co trzeba zrobić. Zaczął odliczanie: raz! Chłopcy się zerwali z krzeseł i ustawiając się w szyku, biegli do drzwi wyjściowych. Kiedy wypowiedział: dwa, już biegli korytarzem, mijając szklane drzwi prowadzące do sal klasowych. Kiedy wypowiedział: trzy, był pewien, że czekają na niego przed bramą szkoły.

On wyszedł ostatni i zgasił światło. Twarz jednak wciąż na niego patrzyła.

Matka właśnie gotowała obiad. Doprawiała sos tłustą śmietaną. Zacerpnęła go na łyżkę i już dmuchała, przysuwając do ust. Powiedziała sobie jednak, że chęć sprawdzenia smaku jest tylko

usprawiedliwieniem łakomstwa i obżarstwa. Doskonale przecież wie, jak ten sos smakuje, pewna jest również tego, że nie brakuje w nim żadnej przyprawy. Przekręciła rękę, odwracając łyżkę i sos spłynął z powrotem do rondelka. „Silny charakter zostanie nagrodzony” – powiedziała do siebie półzartem.

Wtedy zadzwonił telefon. Wciąż trzymając łyżkę, podeszła do stolika, gdzie leżała jej komórka.

- Tak, synku – powiedziała, nie patrząc na ekran, pewna, że to on telefonuje. Ale to, co usłyszała, nie było jego głosem. Dochodziło dziwnie, nie wiadomo skąd: dźwięki brzmiały wprost w jej mózgu. – Kto to, co to, o co chodzi? – jąkała się, przerażona. Po raz drugi wytłumaczono jej wszystko, dobitniej i dokładniej.

- Nie! – zawołała. – To bzdura! – rzuciła aparat na stolik.

„Czego oni chcą? O czym mówią? Mam nie czuć ciepła ciała synka, kiedy się do mnie tuli? Nie patrzeć na niego, kiedy odrabia lekcje lub naprawia rower? „Pozbądźcie się doznań zmysłowych, tego całego balastu, który przynosi wam cierpienie” – powiedzieli.

- Ależ to szaleńcy! – wołała. – Kim jesteście? Źle zrozumieliście moje myśli na temat walki z nadwagą i podjadania, ja kocham swoje ciało.

I choć komórka już dawno leżała rzucona na stoliku, słowa wciąż brzmiały w jej mózgu. „Syn! Trzeba go ratować!”

Biegła ulicami miasta. Były dziwnie puste, jakby miasto powoli się wyludniało. Przerzedzało się. Ubywało ludzi, jeden po drugim. Przez otwarte okna zaglądała do mieszkań: nikogo, ani jednej osoby. Wiatr wzdymał firanki, fruwały jak szarfy. Biegnąc wciąż, zaczęła krzyczeć. – Ludzie, nie tykajcie jedzenia. Odsuńcie natychmiast talerze. Jedzenie zarażone. Oni chcą – tu zabrakło jej tchu i słów. Nie wiedziała, jak wyrazić zamiary obcych, by jej słowa zabrzmiały przekonująco, a nie śmiesznie. Nagle przypomniała sobie syna: „czy kupił bułki w piekarni bułki na śniadanie? Czy zjadł lekki pokarm, jakby i on już był bezcielesny?”



Wpadła do szkoły, do gabinetu dyrektora. Siedział za biurkiem i czytając gazetę opartą o monitor, podnosił do ust kromkę chleba, drugą rękę grzejąc o szklanę z herbatą. Zdziwiony, podniósł wzrok na kobietę, która wbiegła i jego ręka z kanapka zatrzymała się na wysokości piersi. Podbiegła, wytrąciła z ręki śniadanie i błyskawicznym gestem wytrąciła szklanę. Płyn rozlał się po dywanie.

- Ależ, co pani? – wykrztusił zdumiony, patrząc na nią, gdy padała na fotel. Zniosła się płaczem i przez łzy jąkała nieprawdopodobne wiadomości o porannych światłach, wymacujących żywych tego miasta, o transformacji, którą szykowali, będącą niczym innym jak straszną zagładą. Mówiła o tym, że trzeba uciekać, uciekać. Poza granicami kończą się moce, sięgają bowiem tylko tak, dokąd dojdą światła.

Dyrektor był przyzwyczajony do rozhisteryzowanych matek, nadmiernie trzęsących się nad swoimi dziećmi. Tak kobieta jednak przekroczyła wszelkie granice. Jej fanatyczne krzyki o zagładzie, zbijały go z tropu. Nie wiedział, co odrzec. Ten dzień był dla niego taki jak zwykle. Lekcje się zaczęły i przebiegały normalnym rytmem, tyle że interesantów i spraw było jakby mniej. Telefony nie dzwoniły jak szalone, nawet emaile nie przyszły. Nie sprawdził więc ze swego gabinetu, co się dzieje w szkole. Panowała cisza, sądził, że wszystko przebiega jak co dzień. Miał tak wiele zaległych prac, że cieszył się z chwili podarowanego mu niespodziewanie spokoju.

- Szkoła jest pusta! – zawołała.

Nie wierzył jej, pochwyciła go za rękę i usiłowała wyciągnąć z za biurka, by oprowadzić po szkole. Opierał się jednak, choć czuł, że jest to tak śmieszne jak i jej zachowanie. Nie będzie jednak ulegał jakiejś niezrównoważonej osobie i dał się za rękę oprowadzać po klasach, gdzie przecież wszystko się dzieje jak zwykle. Wybiegła z gabinetu i zostawiła szeroko otwarte drzwi. Pędząc wzdłuż

korytarza, otwierała po kolei drzwi do klas, chociaż było to niepotrzebne: drzwi były ze szkła.

- Pusto! – biegła dalej. – I tu nikogo nie ma! – wołała, płacząc.

Wtedy dopiero przerażony i zaskoczony wytoczył się zza biurka i przekonał się na własne oczy o tej straszliwej prawdzie.

- Jedna klasa wyszła z nauczycielem geografii na wycieczkę – powiedział.

- Która? – wykrzyknęła w strachu i nadziei, przypominając sobie, że lekcja geografii miała być pierwsza z kolei tego dnia.

- Jest w niej pani syn – dodał dyrektor.

Odetchnęła i łzy szczęścia i podziękowań potoczyły się po jej policzkach.

- Musimy wszystkich ostrzec. Ratować pozostałych – powiedziała.

- Ale przed czym? – zapytał. – Niczego nie rozumiem.

Opowiedziała mu wszystko dokładnie. Kosmiczna inteligencja, przybyła pod postacią światła, stwierdziła, że ludziom doskwiera ziemski byt. Najbardziej dokucza im oczywiście ciało: ulega zmęczeniu i chorobom i wymaga ciągłej regeneracji poprzez pożywienie. Spowodowała, że pokarm zaczął powodować przemianę, gdyż był on najbardziej powszechny, w codziennym użyciu i dostępny. Wystarczyło rozpocząć od magazynów żywności. Ludzie utracili ciało, zamienili się w pewien rodzaj energii, by się połączyć z czystą inteligencją, co miało przynieść szczęście i radość z obcowania z boskim bytem.

Przemianie nie ulegli jedynie ci, którzy nie pobrali pokarmu. Oszczędzono łaskawie, choć nikczemnie tych, którym ciało sprawiało wiele cierpień poprzez chorobę czy niedoskonałość. Inteligencja, kierując się tylko zasadami myślenia, pozostawała w pewności, że oni sami poproszą o likwidację swoich ciał i w ten sposób lepiej będą mogli ocenić nagrodę, jaką będzie przemiana.

Dali w ten sposób ludziom szansę, nie chcąc, aby przemiana była całkowita i natychmiastowa. Stworzyli pozory wolnej woli, danej człowiekowi przez Boga, i w niego niejako się wcielając. Ludzie będą więc mogli wybrać i zdecydować, co jest lepsze: trwanie w cielesnym kształcie, przynoszącym tyle cierpienie, czy pozbycie się go i uzyskanie szczęścia.

- Ale dlaczego ostrzegli i oszczędzili tych, którym ciało dokucza najbardziej? – zapytał.

- To proste. Ich decyzja będzie dla nich najbardziej wartościowa. Jeżeli mimo udręki, jaką powoduje im ciało, zdecydują się z nim pozostać i nadal znosić cierpienie i ograniczenia, to będzie dowodem jego niezbędności, miłości do niego i dowodem, na to, że ludzie mają trwać w swych ciałach.

- Łobuzy! – krzyknął. – Losy miasta pozostawili w rękach kalek, starców i chorych.

- A może oni są od nas bardziej wartościowi, bo na co dzień muszą się zmagać z cierpieniem często przekraczającym ich siły?

- Ktoś sobie na nas eksperymentuje! – zezłościł się dyrektor. – Zsyła na nas doświadczenie, byśmy ukształtowali swój charakter i czegoś o sobie się dowiedzieli. – Dyrektor pokręcił się wokoło, jakby czegoś szukał.

- Idziemy! – zdecydował. – Muszę ratować młodzież. To jest moim obowiązkiem.

- Jak ratować?

- Nauczyciel geografii wywiódł ich z miasta, to pewne, bo tylko tu im grozi niebezpieczeństwo. Poza miastem nie sięgną ich światła. Na pewno więc pójdą na wieś. Muszą przecież coś jeść. Ci mieli szczęście: jedli na śniadanie żywność z dnia poprzedniego. Takich się na pewno znajdzie więcej. Pojedziemy, popytamy.

- Mnie jeszcze coś niepokoi – rzekła kobieta. – Mam pewne pytanie – urwała. – Nie wiem, muszę się przekonać. Być może jest nadzieja na odratowanie.

Właśnie wtedy z domów, szpitali i przytułków zaczął się wylewać tłum starców, chorych i kalek. Nigdy ich nie było widać w dniu codziennym wśród zdrowych, silnych ludzi, do których należał dotąd świat. A teraz pustymi ulicami podążali ci, którzy mogli chodzić, inwalidzi natomiast jechali na wózkach. Na twarzy każdego z nich malowało się cierpienie, ale i postanowienie. Od nich zależą losy miasta. Nikt z nich się nie podda, miejmy nadzieję. Nikt nie przeklnie swej choroby, nie zapragnie umrzeć, pokona cierpienie i ból. Bo każdy z nich wie, że nie tylko zdrowe ciało decyduje o człowieczeństwie. Oni cierpią na co dzień, są w ten sposób wyróżnieni i silniejsi. Nauczyli się pokonywać i zwalczać.

Kochają życie, ono ma dla nich szczególną cenę. Instynkt życia jest wśród nich niewzruszony. Więc idą, kuśtykają i drepczą. Przecież trzeba przywieźć żywność. Będą o nią prosić, żebrać, kupować i pracować na nią, używając wszelkich sposobów, by nie głodowali ci, którzy przeżyli nie mogą tknąć lekkiego, porowatego jedzenia, które zniweczy ich ciało. Oni zostali ocaleni, by swym cierpieniem udowodnić cenę życia, wartość ciała, w jakim trwamy, choćby słabego i chorego.

Kobieta szła obok i całowała wszystkie chore dzieci, szepcząc im coś do ucha. A one tylko uśmiechały się gorzko i nawet nie odpowiadały, bo przecież nie zadaje się choremu pytania, czy do ceny swego życia może dołączyć innych. Nie pytała, czy udowodnią i pokażą tamtym, którzy przybyli aroganccy i chcieli nas zbawić, to znaczy pozbawić, że się bardzo przeliczyli i mają oddać, co zabrali, bo to nie ich sprawa. „Wrócą wszyscy, tylko przetrwajcie - szeptała do kalek – jesteście nadzieją dla wszystkich”.

Kiedy doszli do rogatek miasta, zobaczyli z daleka wielkie magazyny żywności. Minęła ich w pędzie ciężarówka, prowadził ją

Haron. Zatrzymał samochód i zaczął z niej wyrzucać zatrutą żywność, wygarniętą ze sklepów. Pracował tak od rana. Był już zmęczony, ale wiedział, że nie ustanie.

- Odsuńcie się – powiedział. Wziął kanister i oblał wszystko benzyną. Buchnął wielki płomień. A oni szli dalej, patrząc w wielkie światła, które obmacywały miasto. Kobieta widziała, że wszyscy przemienieni ludzie unoszą się ponad nimi i płaczą za utraconym ciałem i życiem. Wcale nie chcą być wieczni i szczęśliwi. Wystarcza im ich ziemski los i ograniczenia, są zadowoleni w swej niedoskonałości.

Tymczasem nauczyciel geografii i chłopcy byli już daleko. Minęli wieś, zaopatrzywszy się w niej w żywność. Ogarniało ich zmęczenie.

- Dokąd idziemy? – pytali.

- Tam – odpowiadał – ku światłom. Musimy się z nimi zmierzyć: staniemy przed nimi w całej swojej nędzy, wymęczeniu i wspaniałości. Muszą zrozumieć, prowadzi ich bowiem kaleka, który się nie poddał i który nigdy się nie podda.

Zawsze udawał wspaniałego mężczyznę, sportowca, niestrudzonego piechura. To dlatego tylko, by sobie wciąż udowodniać własną wartość, codziennie siebie sprawdzać i pokonywać.

Skarżyli się, że są zmęczeni. Wtedy im zaczął opowiadać o chłopcu, któremu groziło kalectwo. Zwierzył się ze swej wielkiej tajemnicy, zrzucił dźwigany ciężar przez całe życie. Opowiadał, jak dzień po dniu się męczył, jak nie zyskiwał rezultatów, a wszyscy mówili: „rzuc to”. A on nie chciał leżeć na wózku inwalidzkim.

Ulżyło mu, kiedy się zwierzył. Już nie musi być wspaniałym mężczyzną i niestrudżonym rekordzistą. Jest czymś więcej: kaleką, który pokonał siebie.

Światła robiły się coraz większe i jaśniejsze. Jakże były wielkie i straszne. Ale oni nie umieli się bać. Zaraz spojrzą im w oczy.